TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Władysław Gieysztor
Mieczysław Pruszyński
Dr. Antoni Rudnyćkyj
Ułas Samczuk
Witold Szyfer

Vol. 2. Nr. 49 (101) Nowy Jork, 10 grudnia — New York, 21, N. Y., December 10th, 1944 Cena 15 ct.



TOMASZ ARCISZEWSKI
Prezes Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej

RZĄD 29-go LISTOPADA

Dnia 29-go listopada nowy polski gabinet ministrów został zaprzysiężony w Londynie przez pana prezydenta Rzeczypospolitej, stając się w ten sposób prawowitym rządem polskim.

Zdarzenie to dokonało się według wszelkich zasad legalności, poprzedzone było dobrowolną dymisją poprzedniego premjera, stronnictwo, które narazie wystąpiło z dotychczasowej większości zgłosiło posłuch dla nowego gabinetu i pomoc w jego trudnej pracy.

Formalnie więc w dokonanej w Londynie przemianie niema nic rewolucyjnego, jest ona wzorem zachowania obyczajów parlamentarnych, przestrzegania konstytucji, uszanowania prerogatyw; nigdy dotąd może ani w Angres ani w Londynie nie dokonał się akt państwowy polski bardziej legalnie i przyzwoicie.

A przecież czują to wszyscy: swoi i obcy, wszyscy bez względu na stosunek do nowego rządu — zaszła w Londynie przemiana jest czemś bezmiernie ważniejszem niż zmianą ludzi kierujących, czemś więcej nawet niż zmianą stronnictw, biorących za rząd odpowiedzialność: utworzenie gabinetu Arciszewskiego, dziś już to można powiedzieć, będzie zapisane jako przełomowe zdarzenie w naszej historji pod datą, która jest tradycyjnym symbolem polskiego umiłowania wolności i walki o niepodległość.

Rząd Arciszewskiego powstał nie aby prosić, ale aby walczyć o całość i niepodległość Polski, powstał aby nie dopuścić do hańby polskiej zgody na rozdarcie naszej ziemi, na oddanie jej w niewolę, aby nietylko powiedzieć głośno światu, że Polska walcząca w podziemiach i wojsko polskie nie godzą się na rozbiór Polski, ale aby swoim oporem bezwzględnym i do ostatka wesprzeć tę wolę, aby wystawić rachunek polskiej krwi przelanej i dopilnować zapłaty tego rachunku.

Na dwa dni jeszcze przed utworzeniem rządu Arciszewskiego było, jeśli nie zasadą to nastrojem w polskiej polityce przeświadczenie, iż wielkie mocarstwa decydują nieodwołalnie o losie Polski, że ich decyzjom Polska musi się wkońcu poddać, że Polacy nie mają żadnych elementów i sił do walki, że jedyną drogą do polepszenia naszego losu są ciągłe ustępstwa i posłuch wobec Aljantów.

Dzisiaj wiemy jedno. Rozbiór Polski nietylko nie będzie podpisany przez Polaków, ale zostaną poruszone wszystkie siły polskie i niepolskie, aby świat zrozumiał, że to żądanie, skierowane do Polaków jest hańbą nowoczesnej historji, będzie uczynione z polskiej strony wszystko, aby Rosja i nasi aljanci i niektórzy Polacy zrozumieli także, iż Polacy nie muszą kapitulować, że nie wolno nam proponować ustępstw, za które nic nam się nie daje, że nie wolno z nami rozmawiać jak ze zwyciężonemi. Nowy rząd polski powstał w chwili największego nacisku, aby Polska zgodziła się na poddanie — i powstał poto, aby powiedzieć, że Polska się nie podda.

Zmiana zaszła w Londynie jest więc rewolucją prawdziwą, jest dojściem do głosu tłumionej woli narodu polskiego, jest zawróceniem w ostatniej chwili z drogi, na której następny krok byłby już niecofnioną kapitulacją; że pan Mikołajczyk nie dokonał tego kroku, że podał się do dymisji będzie mu to zapisane jako najbardziej polityczny postępek w jego karjerze.

Tomasz Arciszewski parę dopiero miesięcy temu, w przeddzień warszawskiego powstania przybył z Polski, gdzie był nietylko przywódcą jednego z największych i najofiarniej walczących stronnictw, ale jednym też z wodzów całego walczącego narodu; przybył wezwany nie przez opozycję, lecz właśnie przez rząd pana Mikołajczyka, żądający od niego rady, świadectwa i poparcia; niema partji polskiej i niema Polaka, któryby mógł nie uznać w nim jednego z najczystszych, najbardziej prawdomównych, najmocniejszego charakteru obywateli; to co on uczynił, jakiemi drogami chce powieść sprawę polską, jest to więc niesłamana, niefałszowana, napewno prawdziwa wola kraju nietylko wyczuta przez człowieka z kraju, ale wypowiedziana jasno w oświadczeniu Rady Jedności Narodowej, będącym programem nowego rządu.

Wobec tak niewątpliwej łączności nowego rządu z krajem jest rzeczą śmieszną mierzenie jego znaczenia stosunkiem do niego tych czy innych polityków londyńskich jak jest też grubo szytym kłamstwem twierdzić, że rząd Tomasza Arciszewskiego, któremu ludowcy w Londynie zgłosili lojalną współpracę — niema za sobą chłopów polskich.

Rząd Arciszewskego, i to jest prawda, którą nasze biura informacyjne mają głosić na wsze strony, ma za sobą cały naród polski. Czy to lub inne stronnictwo w tej chwili w tym rządzie zasiada, czy taki lub inny jego minister podoba się komuś mniej czy więcej — nie zmieni to prawdy, że program tego rządu jest programem całego narodu, że jego postanowienie, aby walczyć do końca jak walczy kraj i wojsko o wszystkie słuszne prawa polskie — jest programem, głosem serca, nakazem myśli każdego bez różnicy partji prawdziwego Polaka, jak program de Gaulle'a jest programem wszystkich prawdziwych Francuzów.

O rządzie Arciszewskiego równie naiwny jak perfidny werdykt rzekomych realistów powiedział, że niema on "sytuacji" u Aljantów.

Jeśli taką sytuacją rządu polskiego ma być opinja, iż zgodzi się on wkońcu na wszystko co mu

wielcy aljanci zasuflują ,iż w niczem i nigdy nie sprawi im trudności — to rząd Arciszewskiego niema oczywiście tej sytuacji.

Ale jeśli taka sytuacja może być czyjąś wątpliwej wartości osobistą przyjemnością — niema ona dla sprawy polskiej żadnego znaczenia, jak nie przyniósł Polsce żadnej korzyści, nie spowodował żadnego polskiego sukcesu fakt, że mieliśmy dotąd w naszym rządzie polityków, którzy chwalili się, że taką sytuację posiadają.

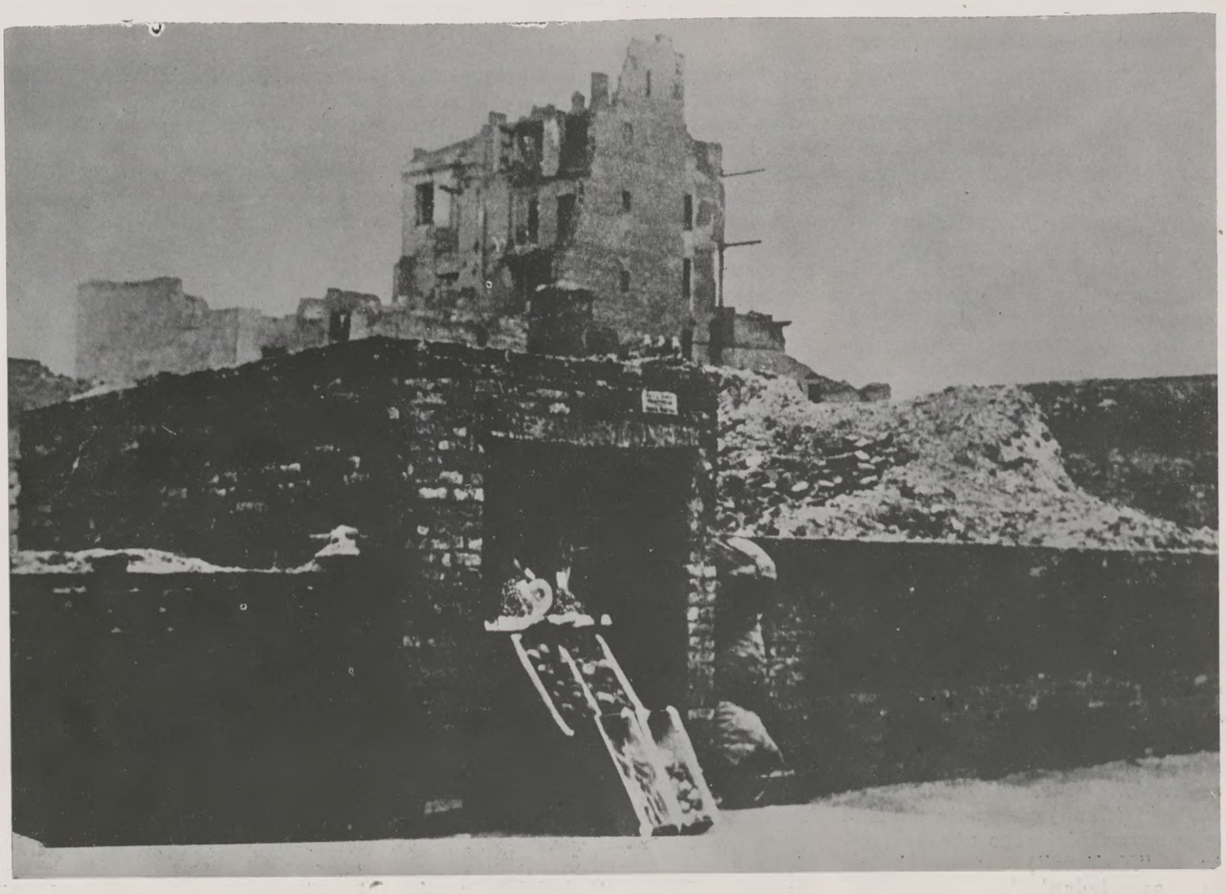
Rząd Arciszewskiego otrzymał spadek, który pozwala mu szukać jednej tylko sytuacji: takiej właśnie jaką miał generał de Gaulle, o którym w swoim czasie mówiono, że żadnej "sytuacji" niema.

Niektóre czynniki angielskie, zadziwione, że Polacy nie godzą się, aby ich traktować jak Kafrów lub Zulusów i nie chcą dać się wymordować, poto, aby panu Edenowi ułatwić rozmowy z Moskwą — wyraziły życzenie, aby rząd Arciszewskiego miał żywot krótki i nieszczęśliwy i to życzenie podane zostało jako slogan i wróżba do prasy.

Nowemu rządowi polskiemu robione więc będą napewno wszystkie możliwe szykany, nie będzie on nigdy chwalony przez Times'a, zarobi na wszystkie wymysły "P. M.", wszystkie obelgi nowojorskich komentatorów radjowych, dokonane zostaną wszystkie próby, aby ten rząd rozbić od wewnątrz, zastraszyć go, aby go zmusić nie do ustępstw już ale do ustąpienia, któreby umożliwiło kapitulację Polski.

I otóż jesteśmy pewni, że wszystko to nie zda się na nic. Rząd Arciszewskiego powstał, świadomy trudności, które go czekają i zdecydowany je przewalczyć; polityka polska weszła na nową drogę, z której już nigdy nie zejdzie, bo to, co deklaracja nowego gabinetu dyplomatycznie nazwała doświadczeniami pana Mikołajczyka nauczyło nas, iż jest to droga jedyna, że idąc po innych nie jesteśmy w stanie nic uratować, gdy na tej uratujemy conajmniej honor i przyszłość.

I jesteśmy przekonani, że protestując wszystkiemi dostępnemi sobie środkami przeciw największej hańbie nowoczesnej historji, jaką jest próba zamordowania Polski wśród milczenia świata, walcząc zarazem nieugięcie i roztropnie o wielką, czystą sprawę — nowy rząd polski, który dostał tak ciężką spuściznę — zdoła ocalić wszystko co jest do ocalenia, że, wykorzystując dla nas wszystkie dotąd rozproszone i milczące, a przychylne nam siły, zdoła otworzyć przed naszą sprawą nowe pomyślne możliwości. I że skoro okaże się, że jest nieugięty, iż cały naród Polski za nim stoi — zaczną z nim liczyć się i ci, którzy w tej chwili wróżą mu rychłą śmierć a dla których siła jest jedynym argumentem.



RUINY WARSZAWY

DR. ANTONI RUDNYĆKYJ

Ukraińska literatura w Galicji Wschodniej w dwudziestym stuleciu

Nowoczesną literaturę ukraińską-nowoczesną w znaczeniu wprowadzenia do niej żywego języka ukraińskiego zamiast używanego przedtem języka staro-słowiańskiego — zapoczątkował na Ukrainie nadnieprzańskiej Iwan Kotlarewskyj na przełomie 18 i 19go stulecia; tam też, na Ukrainie nadnieprzańskiej, lituratura ukraińska wydała w 19ym stuleciu szereg utalentowanych autorów (Hrebinka, Kwitka, Hułak-Artemowskyj, Marko Wowczok) a wsród nich — największego wieszcza-poetę ukraińskiego Tarasa Szewczenkę (1814-1861). — Ukraińcy żyjący pod zaborem austrjackim w owczesnej Galicji wschodniej, rozdzieleni z rodakami pod zaborem carskim kordonem granicznym niełatwym do przebycia, dłużej musieli czekać na odrodzenie, czy raczej narodziny literatury: dopiero w r. 1837 ukazał się tam pierwszy utwór literacki napisany żywym językiem ukraińskim. Był zbiór opowiadań, wierszy i pieśni pt. "Rusałka Dnistrowa". Autorem jego był ks. Markijan Szaszkiewicz. On też uważany jest— obok wspomnianego Kotlarewskiego — za ojca literatury ukraińskiej.

Jak na Ukrainie naddnieprzańskiej wkrótce po zapoczątkowaniu "nowej" literatury ukraińskiej zjawił się największy jej tamtejszy przedstawiciel Szewczenko — tak i w Galicji wschodniej, we Lwowie, już w trzynaście lat po śmierci inicjatora nowej literatury ukraińskiej, Szaszkiewicza, urodził się największy dotychczas reprezentant literatury galicyjskich Ukraińców — i, równocześnie, największy obok Szewczenki pisarz ukraiński wogóle — Iwan Franko. Początek jego działalności literackiej z początkiem lat 80-tych jest faktycznym początkiem nowej epoki w literturze ukraińskiej. Iwan Franko był pierwszym pisarzem ukraińskim, którego twórczość obejmuje wszystkie rodzaje literatury; pierwszym, który świetnie znał obce literatury i stale śledził za ich rozwojem; pierwszym, który w twórczość swą wprowadził te ideje i hasła, o jakie walczył również jako krytyk i działacz społeczny.

Iwan Franko, którego działalność literacka dzieli się w równej prawie mierze na obydwa stulecia (umarł on we Lwowie w r. 1916 i na obecne stulecie (1905) przypada napisanie jego najważniejszego utworu, poematu "Mojżesz") stworzył w swych opowiadaniach ("Borysław śmieje się..." i in.) pierwsze w literaturze ukraińskiej wzory naturalizmu w stylu Zoli; w powieści historycznej ("Zachar Berkut") dał najlepszy dotychczas przykład tego rodzaju; w utworach scenicznych — ("Skradzione szczęście") znalazł nowy typ ukraińskiego dramatu. Ale największym był jego talent w liryce: jego zbiórki poezyj ("Zwiędłe liście", "Sonety więzienne", "Śmierć Kaina" i in.) do dzisiaj godnie zajmują swe miejsce w literaturze ukraińskiej obok poezji Szewczenki.

W dwudziestym stuleciu, w którym ogólny postęp Ukaińców w życiu politycznym, społecznym, kulturalnym i naukowo-oświatowym szedł zaiste milowemi krokami, także i literatura ukraińska rozwinęła się w niebywałym w porównaniu z przeszłością — rozmiarze. Pierwsze lata tego stulecia wydają w ówczesnej Galicji szereg młodych pisarzy i poetów, których łączy ta sama idea: nawiązania i zbliżenia ich twórczości — a zarazem i przyszłej literatury ukraińskiej — do Zachodu, do nowych literackich haseł nutrujących w obcych literaturach. Za przykładem istniejącej w Krakowie grupy "Młodej Polski" ci ukraińscy literaci łączą się w grupę, którą nazywają "Młodą Muzą" i podobnie, jak w Krakowie lokale Michalika i Turlińskiego stają się w tym czasie ośrodkiem polskiego ruchu literackiego, tak i we Lwowie członkowie "Młodej Muzy" stworzyli w lwowskich kawiarniach i knajpach coś w rodzaju nowego Parnasu.

Co jednoczyło członków kawiarnianego bractwa zwanego "Młodą Muzą" wyjaśnia swych pamiętnikach p. .t "Ukraińska Bohema" (Lwów, 1936) jeden z członków tej grupy, Piotr Karmański. "Łączyła nas opozycja do "starych", wspólne życzenie wydawać swoje książki i swoje pismo, no i łączył nas wspólny, choć nie własny, lokal kawiarni. Chociaż Franko drukował w "Literacko-Naukowym Wistnyku" (najważniejszy ukraiński miesięcznik literacki w tym czasie we Lwowie, którego Iwan Franko był literackim autorem. Przyp. Aut.) dość dużo utworów z nowej cudzej literatury jakoteż i niejednego z członków "Młodej Muzy" — opozycja przeciwko niemu powstała z przeświadczenia, że przecież "wszystkiego" drukować nie zechce. Powstał więc organ "Świt" z tej samej przyczyny, z jakiej i dzisiaj powstają różne organy prasowe, nietylko "młodzieży": mianowicie w swym własnym piśmie można drukować co się chce, nie licząc się z obcą "cenzurą" "...Inny zaś "Młodo-Muzowiec". Michał Rudnicki pisał z okazji 30-letniego jubileuszu "Młodej Muzy" w roku 1936:" ...Trudno powiedzieć jaką rolę odegrała "Młoda Muza" w walce o nowe kierunki literackie. Jeśli "walczyła" ona wogóle, to tylko odczuwając, że dotychczasowa literatura, ludowa i wązko realistyczna, nie wystarcza. Jeśli nie umiala ta grupa literacka wypowiedzieć w ogólnych zarysach tego, co odczuwała — nie dziwota: miała ona przeciw sobie Franka, który sam jeden dawał więcej, jak cała "Młoda Muza". Mieli w sobie Młodomuzowcy dumę i pewność siebie młodzieży, która bodaj w prywatnych dyskusjach próbowała przeciwstawić się ówczesnemu "oficjalnemu" kierunkowi.

Członkami "młodej Muzy" byli:— Michał Jackiw, symbolik, którego pełne ironji naturalistyczne utwory (trzy-tomowa powieść "Taniec cieni") zdradzały wpływ E. A. Poe i Beaudelaire'a; Wasyl Paczowski, autor lirycznych erotyków oraz mistycznych historycznych dramatów ("Słońce zapomnianych ruin"); — wspomniany wyżej Piotr Karmański, poeta lubujący się w motywach beznadziejności i nostalgji, Stefan Czernecki, reprezentujący typ miejskiego bohemisty zarówno w życiu, jak i w swych utworach; pełen patosu Ostap Łucki; autor drobnych humoresek Włodzimierz Birczak; essay'ista Ostap Hrycaj; Sydir Twerdochlib, poeta i esteta (później znakomity krytyk literatury) wzorujący się na ówczesnej modernistycznej poezji francuskiej. Wreszcie w ścisłym kontakcie z "Młodą Muzą" był Bohdan Łepki (przebywający stale w Krakowie) autor wierszy pełnych jesiennej melancholji i wspomnień o minionej przeszłości. (w ostatnich kilkunastu latach profesor literatury ukraińskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

Krakowie, zmarły podczas obecnej wojny). Wybił się on na pierwsze miejsce wpośród poetów i literatów ukraińskich starszej generacji w obecnym stuleciu; zarówno jego wiersze, jak i powieści historyczne ("Mazepa", "Baturyn", "Motrja") zdobyły wśród społeczeństwa ukraińskiego dużą popularność.

Do "starszej" generacji poetów i literatów członkowie "Młodej Muzy" zaliczali — zresztą nie dużo starszych od nich samych — kolegów po piórze: poetów Wasyla Szczurata i Włodzimierza Maślaka, nowelistę Osypa Makoweja i powieściopisarza, Andrzeja Czajkowskiego i Antoniego Kruszelnickiego. Również poza "Młodą Muzą" był Wasyl Stefanyk, autor świetnych opowiadań z życia prostoludzia, który wraz z wspomnianym Bohdanem Łepkim uważany jest za najwybitniejszego pisarza ukraińskiego starszej generacji po śmierci Franka.

Pierwsza wojna światowa, wolnościowe hasła, walka Ukraińców o niezależność i państwowość i zdobycie ich na krótki czas — to wszystko musiało znaleźć swój oddźwięk i w literaturze. Na Ukrainie naddnieprzańskiej pod nowym reżimem sowieckim literatura ukraińska poszła inną, własną drogą, dostosowując się do nowych warunków i wymogów politycznych i specjalnie w okresie t. zw. "kursu ukrainizacji (1926-1932) zrobiła ogromny postęp, wydając szereg wybitnych autorów i utworów. Ale walki jakie tam toczyły się w dziedzinie literatury (były one prawdziwie niebezpieczne dla biorącch w nich udział — a do brania w nich udziału zmuszony był każdy tamtejszy literat i były bardziej związane z pytaniami polityki i ideologji partyjnej, jak z literaturą) w tamtejszych zawodowych związkach literackich i ich organach, walki te miały wpływ — względnie prawie żaden — na prądy literackie, rozwijające się między Ukraińcami pod Polską. Jako bezpośredni wytwór wolnościowych zmagań Ukraińców na arenę literacką wychodzi szereg autorów, którzy w poezjach, opowiadaniach i powieściach idealizują te zmagania (i, przedewszystkiem, główny ich czynnik: ukraińskie legjony "Siczowi Strilci"). Do wzmocnienia patryjotycznych motywów w poezji i prozie przyczynia się katastrofa narodu, która spotyka naród ukraiński: utrata niepodległego państwa i rozdzielenie narodu między cztery sąsiadujące mocarstwa.

Głównemi reprezentantami tego kierunku w literaturze ukraińskiej są Roman Kupczyński, Osyp Turjański, Ołeś Babij, Jura Szkrumelak, Mikołaj Hołubeć, Katrja Hrynewyczewa, Fedir Dudko, Piotr Deresz, Matwij Melnyk, Anatol Kurdydyk. W ostatnich latach przed obecną wojną nawiązała do ich twórczości, względnie do patryjotyczno-patetycznej myśli przewodniej, charakteryzującej twórczość wymienionych pisarzy, grupa młodych poetów i pisarzy ukraińskich która jednakże szlachetny romantyzm swych poprzedników zamieniła na ton skrajnie-nacjonalistyczny i tendencyjno-agitatorski. Organem literackim tej grupy (Bohdan Krawciw, Jurij Kłen, Leonid Mosendz, M. Muchyn i in.) był "Wistnyk", a jej "ideologiem" redaktor tego pisma Dmytro Doncow.

Inna grupa współczesnych i nowoczesnych literatów ukraińskich wydawała w Warszawie doskonale redagowany mięsięcznik "My" (Ewhen Małaniuk, Natalja Chołodna-Liwicka, I. Dubicki, Andrzej Kryżaniwski, O. Olżycz, Jurij Łypa); wreszcie grupa "niezależnych" autorów, orjentującą się przedewszystkiem na nowoczesną literaturę zachodnio-europejską reprezentowana była bodaj — czy nie przez najciekawsze pismo (dwutygodnik) literackim "Nazustricz". Były to poeci Bohdan Antonycz (zmarły przedwcześnie w 24 roku życia w r. 1936), Światosław Hordyński, Jurij Kosacz, Michał Rudnicki, prozaicy Stefan Lewiński, Irena Wilde, Darja Wikońska, wreszcie Ułas Samczuk (autor najlepszej nowoczesnej powieści ukraińskiej rejmontowskiego typu "Wołyń", "Wojna i Rewolucja", "Marja" — zamordowany przez Niemców w r. 1943).

Cała ta młoda generacja pisarzy ukraińskich różni się od swych poprzedników nawet z przed ćwierć stulecia przedewszystkiem doskonałą znajomością obcych literatur i zdobyczy literackich. Wielu z nich żyło i studjowało za granicą, głównie w Paryżu, i atmosfera tamtejszego życia literackiego i kulturalnego nie mogła nie wywrzeć swego wpływu na ich późniejszej twórczości.

Do rozwoju ukraińskiego ruchu literackiego w ostatnim dziesięcioleciu dużo przyczyniło się "Towarzystwo Ukraińskich Literatów i Dziennikarzy" we Lwowie, które od czasu do czasu wyznaczało nagrody za najlepsze utwory literackie w pewnym okresie czasu. Zdobyli te nagrody Samczuk za wspomnianą powieść "Wołyń", Kosacz za "Słońce w Czyhyrynie", Antonycz za poezje "Trzy pierścienie", Łypa za powieść historyczną "Kozacy w Moskowszczyźnie", Wilde za powieść "Motyle na szpilkach" itd.

Wreszcie ostatnią grupę w nowoczesnej literaturze ukraińskiej pod Polską tworzyli autorzy o wybitnych tendencjach katolickich (ks. Kostelnyk, O. Teliha, Roman Jendyk i in.) których trybuną był miesięcznik — "Dzwon".

Podsumowując ogólne wyniki rozwoju ukraińskiej literatury w ostatnim dwudziestoleciu można stwierdzić, że postęp, zrobiony w tym okresie czasu jest rzeczywiście ogromny. Dawne marzenia grupy "Młodej Muzy", snute w pierwszym dziesięcioleciu naszego stulecia, marzenia o wydostaniu literatury ukraińskiej z dość ciasnego koła ludowej tematyki i zbliżenia jej do koła ogólno europejskich literatur, teraz, w najmłodszym pokoleniu poetów i literatów ukraińskich żyjących na ziemiach, należących do Polski, znalazły swe zrealizowanie. Kataklizm obecnej wojny, a zosobna koleje, jakie przechodził i przechodzi Lwów, zakończyły ten perjod literatury ukraińskiej, prawdopodobnie bezpowrotnie. Bo jakby ukształtowała się ostateczna przyszłość tego miasta i tych pisarzy ukraińskich, którzy tam zostaną się między żywemi po obecnej wojnie-literatura ukraińska pójdzie tam spewnością inną, zupełnie inną drogą.

W POPRZEDNIM 48 (100) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Prawdziwa władza; Mieczysław Grydzewski: Na 150-ecie Rzezi Pragi; Stanisław Stroński: Dumbarton Oaks; Jan Ignacy Szper: śp. porucznik inżynier Leon Hertz; Felicja Lilpop-Krancowa: Bohdan Pniewski; Bolesław Pomian: Potęga przestrzeni; Opinje i Zdarzenia.

UŁAS SAMCZUK *(z powieści "Wołyń" — przełożył Dr. Antoni Rudnyćkyj)*

SZCZĘŚLIWY CICHY DZIEŃ

...Chutor.* Niema nic piękniejszego na ziemi jak ten chutor. Szeroka łąka. Powykrzywiana rzeczka i wierzby nad nią. Przypominają one biblijnych dziadów patryjarchów z długiemi, siwemi brodami. Dokoła kwitną kwiaty, wyśpiewują ptaki. Z drugiej strony las. Spoczątku sosny, pachniące żywicą, pod niemi pieczarki i rydze, plątają się błyskotliwe węże, a koło pni masy owadów. Następnie czarny las: dęby, klony, brzozy, lipy. Ile tutaj cienia, chłodu... a ile grzybów! Kiedy burza z ulewą przeleci, wtedy idę w las. Rosa pryska, mgła się podnosi. Rozsypane grzyby w oczach rosną, a ptaki poprawiają swoje gniazda. Brzoza zwiesza warkocze aż do ziemi, pewno płacze. Liście młodych grabi zasłoniły krzaki leszczyny, a na nich orzeszki i wiewiórki. Na zboczach mnóstwo poziomek i kwiatów.

A starą lipę wiecznie dziubie dzięcioł. Czy to rankiem, czy późno wieczorem, zawsze słychać jego nieustanne stukanie. Kruk gdzieś dźwięcznie kracze, jak dobry bas z seminarjum, aż echo się niesie. A nad wszystkiem — błękitne, niedosiężne i tajemnicze niebo, jak oko przepełnione miłością. Na nim bez przestanku krążą jastrzębie i trzepocą się sokoły.

Wołot'ko często wlecze się, kulejąc, na łąkę i siada w trawie. Dokoła pachnie, ćwierkają polne koniki, brzęczą muchy, słońce piecze, pachnąco i przyjemnie. Z tego wszystkiego wpada się w zadumę, a serce napełnia się miłą, beztroskliwą radością. Najczęściej bywa on teraz sam. Chwedot z nim nudziłby się bo Wołot'ko nie może teraz skakać, jak bywało przedtem. To już minęło. Ale i sam Wołot'ko jakoś polubił swą samotność, zżył się z nią. On i nie życzył sobie towarzystwa.

Dziwne myśli niepokoiły jego dziecięcy rozum. Czasem bał się ich, bał się, bo czuł się za małym, za bezsilnym. On już wiedział, że przecie jeszcze mu nie czas mieniać dziecięce zabawki na te kłopotliwe, męczące pytania, na które nie mógł jeszcze znaleźć odpowiedzi.

Czasami znów napadał nań dziwny, przenikliwy lęk. Był to, oczywiście, lęk przed śmiercią, lęk muszki, maleńkiego łaza, którego wątłe ciało niema dość siły by bronić swego życia.

Zdawało mu się, że zewsząd czyha nań nieszczęście. O, tutaj, gdzie siedzi w trawie, może wyleźć jadowity wąż, jedno ukąszenie i on umrze. Lub też, kulejąc koło rzeczki, potknie się i wpadnie do wody. Któż go wyratuje? On sam — słaby i bezsilny. Ale zdaje się najbardziej bał się wściekłego psa. Bo pewnego razu, kiedy Wołot'ko wlókł się drogą i rwał kwiaty na wianek, nagle usłyszał głośny krzyk Wasyla. Właśnie wtedy nikogo nie było w domu prócz matki. Wasyl spostrzegł pod lasem ogromne psisko, narobił krzyku i bez opamiętania rzucił się ratować swego ukochanego Pundyka.. Wołot'ko siedział sobie wtedy spokojniutko w trawie przy drodze za oborą i wyrównywał w pęk narwane kwiaty.

Ale nieszczęście minęło. Wściekły pies przebiegł opodal chutora Matwija i gdzieś znikł w Marcinowej dolinie.

Ale nie tylko to martwiło małego. Prawda, on znowu paląco odczuwał życie i nieustannie pił jego rozkosze. Niema siły, która mogłaby odsunąć od jego ust ten kielich, równocześnie upijający i uzdrawiający. Śmierć! — O, niesmaczne słowo! — Gdy mały leżał nieprzytomny i usta jego wymawiały błaganie o życie, szablonowo powtarzając słowa modlitwy, wyobraźnia jego widziała tylko jedno: życie! Pulsujące, czarowne, pełne soków. Nie, nie. Nigdy, zdaje się, nie zapomni on tej chwili.

Myśli mijały. Cierpiał bóle. Radość rozrywała piersi. Piękno oślepiało swym blaskiem rozum i napełniało duszę. Chmury płyną na niebie... Wiatry przynoszą burze i huragany.. Malutka, przeźroczysta kropelka rosy rozbija światło słońca na siedem kolorów, a łza matki, wyciekająca z głębi duszy, swym żarem, rozbija kamień i dziurawi żelazo.

Siły małego napełniały zwiędłe ciało. Przyszły Zielone Świątki. W przeddzień podwórze zazieleniło się łozą, ścieżki posypano czerwonym pisakiem i pachnącą trawą. Był on w lesie, chodził między sosny, patrzył w dal, wsłuchiwał się w szum sosen i szmer dębów. A kiedy ściemniło się, musiał wracać do domu. Przyszedłszy na podwórze zobaczył matkę w otwartym oknie umajonym brzózkami.

— Mamo — powiada.

— A co tam?

— Chciałbym jeszcze trochę być na dworze. Tutaj ciepło.

— Chyba ci nie zabronię? Zostań...

I Wołot'ka nie poszedł do domu, lecz znowu wrócił na pagórek pod lasem. Na trawę upadła rosa, dlatego nie siada na trawę. Głęboko wzdycha i siada pośród ścieżki; dokoła zapada ciemność. Z łąki lekko wieje wilgotny wietrzyk, a trawa wciąż gromadzi nowe perły rosy. Z zielonego żyta wybiegają nagie rusałki. Wołot'ko widzi je wyraźnie. Wzięły się za ręce i tańczą w lekkich pląsach. W świetle księżyca wyglądają jak wielkie kwiaty.

Niebo przybrało kolor czarownej przepaści, głębokiej bezdennie. Wyrzeźbione jest ono przez największego rzźbiarza na cudownym zielonofjoletowym marmurze. Złote gwiazdy ruszają się, płyną, kręcą się. — "Światy płyną. Nademną i podemną. A przedemną śpiewające kwiaty, rosa pląsy i boska muzyka" — tak może powiedzieć tylko sam Bóg...

Wołot'ko oraz pierwszy w życiu wyraźnie odczuł przyrodę. Teraz on wszystko rozumie. On jeszcze mały, dziecko, ale wyraźnie odczuwa wszechświat i ruch. Chwilami nie wie, co się z nim dzieje. Wtedy zaczyna śpiewać i zatańczyłby, gdyby nie bolały nogi.

Gd powrócił do domu, wszyscy modlili się. Przyłączył się do nich i także zaczął się modlić. Między innemi on i modlić się nie umie teraz tak, jak przedtem, przed chorobą. Wtedy on nie modlił się, lecz, jak matka mówiła, "memrał". Wtedy odmawiał on dużo różnych modlitw, ale myśli jego zawsze były gdzieindziej. Gdy robił znak Krzyża, to "muchy odganiał", i ojciec zato bardzo się gniewał. Ojciec lubi żegnać się wyraźnie, na cztery takty. Ale teraz słów modlitwy Wołot'ko już nie potrzebuje. Wydają mu się one śmieszne, a do tego mówi się je jakąś dziwną mową.

Teraz modli się całą swą istotą. Modli się kwiatami, rosą, niebem i gwiazdami. Myśli, jakie wszystko to piękne i wdzięczny jest za to Stwórcy.

Gdy kładli się spać, ojciec był w takim dobrym humorze, że sam zagadnął Wołot'kę:

— No co, nabiegałeś się? — i ciężką, szorską dłonią pogładził miękkie włosy główki syna. Będziesz jeszcze biegać jak nie wiedzieć co.. Tylko nie padaj na duchu. I ja kiedyś jak jeszcze byłem mały, odmroziłem palce u nóg...

Wołot'ko nic na to nie odpowiedział. Tylko:

— Tato, czy chcecie sprzedać nasz chutor?

— Nie jeszcze nie.. Albo co?

— Nic. Ale mnie szkoda go byłoby. Tutaj tak ładnie i tak cicho...

— Ech, dzieciaku, dzieciaku! Jeszcze nic nie rozumiesz. Jak dłużej żyć będziesz to zrozumiesz, co to znaczy cicho. Co to warte, gdy do ust niema co włożyć?

— A nasz sad, tato?.. Las, łąka?

---

*Gospodarstwo, wzgl. zagroda, znajdujące się poza wsią, w stepie.

Ojciec na chwilę zamilkł. — Djabelskie nasienie, pomyślał. Przypomina ci.. Sad, sad! — Ja, dziecko, powiada on głośno o tem nie myślę. Sad! Lubię sad! Lubię każde drzewko. Lubię i cieszę się tem, ale cóż. Czy my mamy jakieś prawo kochać naszą ziemię, tą, na której urodziliśmy się? Nie. My, dziecko, chłopi. Nasze prawo to tylko praca... Tak... Tylko pracować... A gdy potrzeba chleba. Porzuć zagon na którym wyrosłeś, porzuć swoją chałupę, porzuć sad i wędruj w świat. W stepy, na Sybir, bo tutaj niema miejsca dla ciebie... Tutaj obcy zabierają ci ziemię, a ty uciekaj. Taka to nasza Wołyń, synu.

— Nasza ziemia nazywa się Wołyń? — pocichu, nieśmiało pyta się Wołot'ko.

— Wołyń. Z dziada — pradziada — Wołyń... Zapamiętaj to.. Czekaj, wkrótce do szkoły pójdziesz, będziesz się uczyć.

— I Chwedot, tato, do szkoły pójdzie?

— I Chwedot, i wszyscy. Trzeba wszystkim iść do szkoły. Człowiek nieuczony zupełnie, jak ślepiec. Ot, twoja matka. Co tam ona wie? A żeby was uczyć, potrzeba pieniędzy. Trzeba wam dać świat zobaczyć. Sadu mnie szkoda. Drzewa lubię i owoce lubię, ale cóż... To już drugi, który posadziłem, posadzę i trzeci. A potem wy będziecie sadzić...

Ojciec więcej już nie mówił. Już późno. Wołot'ko szybko zasnął. — Szczęśliwy, cichy dzień skończył się.

WITOLD SZYFER *(II Korpus Armji Polskiej we Włoszech)*

NACZELNEMU WODZOWI POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH GEN. BRONI KAZIMIERZOWI SOSNKOWSKIEMU W HOŁDZIE ŻOŁNIERSKIM

Generale! Generale naszych dni tułaczych,
naszych czynów męskich i poświęceń!
— Postawili nas w przeddzień rozpaczy...
— Czegóż więcej, czegóż od nas chcą więcej?

Generale naszych serc i myśli!
Przyjacielu bezsennych nocy.
Krew się toczy, krew nasza się toczy
wodospadem płynącym do Wisły.

My żołnierze walczącej dywizji
nie pójdziemy na podły żołd!
My w przededniu, w godzinie decyzji
żołnierski dajemy Ci hołd!

Ty widziałeś naszą śmierć Generale,
my widzieliśmy łuk Twoich brwi!
— Krew oddaliśmy bo trza było krwi!

Generale naszej dumy i honoru!
Wodzu naszych świętych bitewnych kroków!
My idziemy bok u boku
bez fanfar i bez kolorów....

Nie są ważne decyzje posiedzeń
I nie ważne wyniki obrad.
Ważne to — że my zawsze na przedzie,
ważne to — by nas nikt nie okradł!
Ważne ślady naszych ciał rozerwanych.
bataliony naszych sierot i kalek...
Generale! Generale Kochany!

Generale — nie potrzeba westalek,
nie potrzeba markiz ni margrabin,
pokojowych umów i załatwień!
Dziś wystarczy żołnierski karabin,
dziś o kulę niż pakt — wiele łatwiej!
Chcą nas zniszczyć, rozmienić na drobne
pertraktacją przedwczesnych pokoi...
Generale wystarczy naboi
na pogrzeby i marsze żałobne...
Umieralimy — i będziem umierać
z myślą jedną — przez nic nie wydartą,
że jest warto, postokroć jest warto
bić się, bić się i nie wybierać.

Generale! Ciebie nikt nie poniży,
Ty masz prawdę i hufce zbrojne,
Ty masz nas! Masz cmentarze krzyży...
Generale! — Prowadzimy wojnę!!!

I albo nas w wojnie okpią
albo nas zgnębią i zniszczą,
albo zatkniemy kopię
ku chwale naszym zgliszczom!

Dla nas niema Polski podzielonej
nie rozumiemy pół ani ćwierć...
Mamy rany! Mamy rany skrwawione
i z ran będzie Polska cała
albo — albo Generale Wodzu....
— Z RAN BĘDZIE WSPÓLNA ŚMIERĆ!

ZWYCIĘZCY WODZOWIE POLSCY

Polska Dywizja Zmotoryzowana pod dowództwem generała Stanisława Maczka śladem najszczytniejszych polskich tradycji wzięła udział w uwolnieniu Francji, Belgji i Holandji, nietylko powiększając sławę polskiego bohaterstwa, ale tworząc nową legendę polskiej nowoczesnej broni.



GENERAŁ STANISŁAW MACZEK
Dowódca Dywizji Zmotoryzowanej, wsławiony zwycięstwami we Francji, Belgji i Holandji.

ZWYCIĘZCA Z POD MONTE CASSINO



Generał Władysław Anders
dowódca II-go Korpusu Armji Polskiej

Dywizja Karpacka, utworzona ze wsławionej przez walki w Tobruku Brygady Karpackiej generała Kopańskiego — wpłynęła decydująco, pod dowództwem generała Ducha na liczne operacje naszego Drugiego Korpusu, ostatnio okrywając swój sztandar chwałą przez zdobycie Loretto.



GENERAŁ BRONISŁAW DUCH
dowódca Dywizji Karpackiej, która odniosła ważne zwycięstwa w walkach we Włoszech

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

JASTRZĘBIE NIEMIECKICH NOCY

W nocy czołgi są jak ślepe. Toteż noc przynosi zwykle odpoczynek wojskom na froncie zachodnim. Czołgi cofają się do tyłu, poza kordon własnej okopanej piechoty. Załogi czołgów wychodzą ze swych śmierdzących benzyną stalowych schronów, by odetchnąć świeżem powietrzem, zjeść gorący posiłek.

Po niemieckiej stronie frontu, nie tylko załogi "Panzerkraftwagen" ale wszystko co żyje w odległości dwustu mil od linji frontu czeka niecierpliwie nadejścia nocy, by zacząć życie a przedewszystkim ruch. Niemieckie pociągi i kolumny samochodów ciężarowych w ciągu dnia czekają w ukryciu nie śmiąc opuścić węzłowych stacji bronionych ogniem zgrupowanych bateryj przeciwlotniczych, nie śmiąc pokazać nosa na wspaniałych autostradach Hitlera, w trwodze przed przelatującymi jak wicher i plującymi ogniem setkami Tajfunów, Spitfire'ów, Mustangów, czy Lightningów podobnych dwom jaskółkom sprzężonym w locie. Dopiero gdy ciemności nocy spłyną na ziemię setki długich zda się niekończących się pociągów i tysiące ogromnych samochodów ciężarowych, budowanych specjalnie na strategiczne autostrady, wychodzą z dziennego ukrycia i sapiąc i rzęrząc suną w stronę frontu, wioząc walczącym żołnierzom miljony galonów benzyny, miljony artyleryjskich pocisków, miljony żywnościowych racji dziennych.

Jednocześnie z kierunku zachodniego pojawiają się na niebie pancerne hufce, złożone z wielkich czteromotorowych samolotów. Otoczone setkami myśliwców, lecą prosto przed siebie, na wytknięty z góry cel, którym dziś mogą być węzły kolejowe Berlina, a może hut Solingen, lub też fabryki samolotów Augsburga czy syntetycznej benzyny Gelsenkirchen. Te tysięczne armady "Fortec", "Lancasterów", "Liberatorów" i "Halifaxów" płyną karnie niebem jak hufce siedemnastowiecznej husarji, by ciosem dziesiątków tysięcy ton dynamitu zadać śmierć tam gdzie uderzą. Żaden ze sztabowych, skrzydlatych, czteromotorowych rycerzy nie wyłamie szyku, conajwyżej plunie ogniem na podlatujące Messerschmitty oślepi dynamitem świecące z dołu reflektory, zagłuszy natrętne baterje dział przeciwlotniczych.

Choć polski Dywizjon Nr. 305 ma na swej odznace wyryte skrzydła husarskie, to jednak obecnie nad polami bitew Europy pełni raczej rolę, która w opisywanych przez Sienkiewicza bojach przypadała w udziale dragonom lub też lekkiej jeździe tatarskiej. Każda załoga Dyonu, wyposażona w arcyszybkiego Mosquita, walczy nie w szyku zwartym ale w pojedynkę; na własną rękę przekrada się na tyły nieprzyjacielskie, i tam walczy zaskoczeniem; unika nieprzyjaciela mocniejszego a gdy nań natrafi wtedy równie szybko jak pojawiła się, zniknie z placu boju.

Prowadzimy też w Dywizjonie tryb życia odpowiedni. Wysypiamy się — niczem gwiazdy filmowe Hollywoodu — do południa, breakfast-lunch jadamy między godziną pierwszą a drugą po południu, obiad o szóstej wieczór. Nawet Ojciec Święty poszedł na rękę naszemu trybowi życia ponieważ zezwolił kapelanowi Dyonu, by w niedzielę odprawiał dla nas mszę świętą o godzinie siódmej wieczorem. Natomiast gdy tylko zmrok zapadnie, już z zaciemnionego lotniska startuje pierwsza maszyna do lotu nad Niemcy. I tak przez noc całą będą Mosquita w równych odstępach czasu wyfruwać w czarną noc i wracać po czterech godzinach. Gdy ostatni wyruszy kur na sąsiedniej farmie już zapieje.

Po kilkunastu minutach lotu pozostają w ciemnościach za nami brzegi Anglji. Nad Morzem Północnem chmury są niekiedy czarne i ponure, grożą złowieszczo deszczem co oblodzić może samolot, lub wichurą, która chwyci go w swe złe szpony. Niekiedy na ciemny granat nieba wypłynie złocista kula księżyca otoczona plejadą migocących gwiazd, a białe chmurki pod samolotem ułożą się w miękki, jak z tatrzańskiego śniegu puszysty dywan. Wtedy ma się wrażenie że Mosquito kieruje swój lot w jakieś czarowne zaświaty, ku jakiejś innej pięknej i sennej planecie.

Czasu na marzenia wiele niema, skoro już po pół godzinie lotu czarnieje w dali brzeg Holandji. Należy tak pokierować samolotem, by wpaść w Holandji na jakąś odludną plażę i jednym susem ten kraj przeskoczyć, przemykając się między Rotterdamem, Utrechtem, Amsterdamem i Hagą, gdzie jeszcze są Niemcy i gdzie czatują na nas z zasadzkami balonów zaporowych i ogni przeciwlotniczych. Od czasu do czasu w słuchawkach interkonu dźwięczy przeciągły, denerwujący dźwięk: to radjowy podsłuch niemiecki namierza kurs naszego samolotu, by wysłać za nim w pogoń myśliwca. Ziemie i wody Holandji szybko pzesuwają się pod skrzydłami Mosquita. W prawo od samolotu świecą jakieś ogniki oraz żarzą się pożary — tam leży miasto Arnhem, tamtędy przebiega linja frontu, tam gdzieś się krwawi polska dywizja pancerna i polska brygada spadochronowa. — Trzymajcie się chłopcy! Postaramy się tej nocy ułatwić wam robotę dni następnych.

Po dwudziestu minutach lotu Mosquito przewinął się już przez Holandję i wleciał nad Niemcy. Teraz kieruje swój lot do tej części przyfrontowej Rzeszy, którą pan marszałek polny Montgomery przeznaczył na noc dzisiejszą na zabawę dla polskiego dywizjonu Nr. 305. Marszałek bywa hojny, nie żałuje Niemiec polskim chłopcom, czasem da im w prezencie (na jedną noc) całą Westfalję, czasem zagłębie Ruhry, niekiedy lasy Turyngji, najczęściej uroczą dolinę Renu, innym razem dla odmiany Palatynat.

Leżąca przedemną mapa woła jednak każdem większem miastem i każdem skrzyżowaniem kolei: "Danger", "Danger"! Zadaniem naszem jest niszczyć wszelkie przejawy ruchu nieprzyjaciela na drogach, kolejowych torach, kanałach. Poco jednak atakować pociąg na bronionej setką szybkostrzelnych dział stacji w Hanowerze czy w Kolonji skoro ten sam pociąg lub inny można dopaść o dziesięć mil od niej, w szczerem polu? Połóżmy już wreszcie kres bohaterstwu polskiemu, co to z lancą każe prowadzić żołnierzy na czołgi. Mordujmy nieprzyjaciela zdradliwie, skrycie, z tyłu — sami kurczowo trzymając się życia.

Mosquito pruje czarną noc nad Niemcami, gdy tylko namierzanie radjem brzmi w słuchawkach zbyt natrętnie, daje szusa w prawo lub w lewo, skoczy w górę, pośliznie się w dół i znów wraca na trasę. Czasem z dołu błyśnie reflektor, czasem trysną czerwone błyskawice artyleryjskich pocisków, ale trwa to tylko niewiele sekund, Mosquito leci przecież z szybkością 120 metrów na sekundę, poszczególne działo może też skutecznie do niego strzelać tylko przez czas... sześciu sekund. Mosquito dalej pędzi wśród czarnych chmur nad czarnym lądem, omija większe miasta, przekrada się między nimi jak intruz, kłusownik, co pędzi na złodziejską wyprawę. Wreszcie dopadł autostrady czy kolejowego toru nad którym ma przez godzinę roztoczyć złowieszczą opiekę. Teraz obniżamy lot, Mosquito krąży wolniej, nachyleni do szyb staramy się przeniknąć ciemności niemieckiej ziemi pod nami. Naraz dojrzeliśmy. Tam w dole w prawo na czarnej linji kolejowej przesuwa się powoli wielka, długa biała plama. Dobrze wiemy co to jest: dym z lokomotywy. Niczego więcej narazie nie widać, ale to zupełnie wystarczy. Mosquito zniża lekko lot i jak jastrząb zatacza szeroki krąg nad wybraną ofiarą, dokładnie planujc najlepszy kierunek uderzenia. Ani jastrząb ani Mosquito nie krąży długo nad wybraną ofiarą. Pochyla lekko dziób i bierze kierunek na sunący w tempie żółwiem, dymiący, sapiący pociąg. — Mosquito pikując pędzi w dół coraz szybciej, już w sekundzie przebywa metrów 150, po chwili już 170, po chwili już 200, niewiele mu już brakuje by pędzić z szybkością głosu. Dym z lokomotywy zbliża się z zawrotną szybkością, już widać iskrzący parowoz, w ułamkach następnej sekundy już widać długi rząd wagonów. Już oba palce nacisnęły spusty i celowane kierunkiem samolotu cztery automatyczne działa i tyleż maszynowych karabinów prażą gradem świetlnych pocisków. Ale teraz sami jesteśmy oddzieleni o ułamki sekundy od śmierci. Jeśli Mosquito z lotu pikującego nie zostanie poderwany w porę do góry, jeśli w swem zabójczem tempie muśnie chociaż leciutko ziemię to nietylko ciała załogi ale nawet płyty pancerne i stalowe lufy dział rozsypią się na strzępy. Ale raz jeszcze Mosquito w czas się poderwał i znów grad błyskawic oderwie się od niego i gdy wyciągamy samolot z piki, popędzi za nim, w koło niego, obok, z przodu, z tyłu. Chwila jest nieprzyjemna, wydaje się, że pociski świetlne są rozsiane po całem niebie i muszą trafić Mosquita, ale po paru sekundach pociski nikną w mrokach nocy a Mosquito płynie nadal po niebie zwycięsko.



Polski lotnik

zatacza koło nad ofiarą pozostawioną tam w dole. Pociąg albo już jest w płomieniach albo też przerażony zatrzymał się i oczekuje litości. Nie zazna jej. Bo jastrząb tymczasem zatoczył drugie koło i za parę sekund znów runie z chmur na obezwładnioną już ofiarę.

Niekiedy, choć nie często, pociąg jest uzbrojony i po pierwszym ataku cięsko. Niekiedy Niemcy urządzają dla nas specjalne pociągi pułapki, niczem łapki na łakome myszki. Ustawiają na torze pusty pociąg, z dymiącą wspaniale lokomotywą wokoło zaś niego ukrywają ze dwadzieścia przeciwlotniczych dział. Biada samolotowi co zaatakuje taki pociąg. Narazie nasz Mosquito jeszcze się nań nie natknął.

Niezdrowo jest jednak z jednym pociągiem bawić się dłużej jak parę minut, bo już leci mu na odsiecz niemiecki myśliwiec nocny. Gdy w słuchawkach interkonu słychać urywane brzęczenie, znak, że już jest na naszym tropie, wtenczas parę nagłych zwrotów maszyną, skok w dół czy do góry wystarczą aby zgubić natręta. I przenosimy się nad sąsiednią auotstradę czy kanał. Gdy ujrzymy na jasnej tafli wody kanału ciemne plamy — wiemy że są to barki. Gdy zaś przyćmione światła ruszają się na asfalcie autostrady wiemy że to jadą wozy. I znów Mosquito spada z ciemnego nieba na wybrane ofiary pluje ogniem, barki toną, samochody stają w płomieniach.

Czasem polowanie się nie udaje: były chmury, noc zbyt czarna, by dojrzeć cokolwiek na drogach. Czy wrócimy z naszymi bombami do Anglji? Wstyd byłby. Wtedy czoło przyciska się do szyby i spogląda w czarną przepaść pod nami tak długo, aż oczy w ciemnościach rozróżnią na ziemi jaśniejsze, prostokątne, regularne plamy. To są kryte blachą lub lśniącą dachówką dachy domów. Osada jest niewielka, śpi spokojnie w ciszy wrześniowej nocy. W takich osadach chronią się obecnie ewakuowani z wielkich miast przemysłowych i węzłów kolejowych, bombardowanych przez Lancastery i Fortece, urzędnicy Gestapo, dygnitarze hitlerowskiej partji, kacyki z organizacji Todta, intendentury Reichswehry, sztaby korpusów, frontów, armij. Siedząc wygodnie w miękkim fotelu naciska się wtedy lekko mały guzik. Oglądam się od niechcenia za siebie. Nic specjalnie ciekawego bowiem nie zobaczę — poprostu to co zwykle: żołty wybuch na tle czarnej ziemi a po chwili tryska w niebo czerwony pożar. Jest to nasza skromna odpłata za Warszawę.

Godzina patrolu upłynęła, zmieniamy wysokość by się nie zderzyć z nadlatującym dla luzowania nas maszynami. I znów nasz Mosquito jak wracający z wyprawy złodziejskiej kłusownik przemyka się w pędzie swych trzystu mil na godzinę gdzieś między Dortmundem, Akwizgranem, a Kolonją potem między wielkimi portami Holandji. Nad Morzem Północnem czujemy się już jak na ścieżce we własnym ogrodzie. Dwie godziny potem członkowie załogi zasypiają snem sprawiedliwego na łóżkach polowych przy lotniskowym baraku, gdzieś w zacisznym hrabstwie Surrey czy Essexu.

A brani do niewoli żołnierze niemieccy zeznają, że w ciągu całych miesięcy nie mogli spokojnie zmrużyć oka, bo samoloty aljanckie bez przerwy dniem i nocą przelatywały im nad głowami.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

U ARCISZEWSKIEGO W WARSZAWIE

W styczniu 1940 roku Rząd Polski w Paryżu postanowił wysłać zaufanych ludzi do Polski celem nawiązania bezpośredniego kontaktu ze społeczeństwem w okupowanym Kraju. Wiadomości stamtąd nie brakło, bo coraz to ktoś nowy przyjeżdżał do Paryża. Przyjezdni donosili jednak, że Kraj prosi o instrukcje.

Generałowie Sikorski i Sosnkowski osobiście odprawiali wysłanników. Dostali oni polecenie wejściaw Polsce w kontakt zarówno z podziemną organizacją wojskową, jak też ze wszystkiemi poważniejszemi partjami.

Dwa tygodnie trwały konferencje w Warszawie. Każde ze spotkań kryło w sobie przynajmniej tyleż ryzyk, co nocna przeprawa przez granicę. W lasach karpackich wędrowcy znaleźli tysiące sojuszników w postaci niebotycznych smreków, majestatycznych sosen i rozłożystych dębów, które od stuleci kryły walczących Polaków. W Warszawie na ulicach więcej było umundurowanych Niemców, niż osób cywilnych, a i niejeden cywil patrzał wilkiem. Potrzeba więc było wielkiej ostrożności i sprawnej organizacji, żeby zebrać w bezpiecznem miejscu choćby nieduże grono osób.

Delegaci z Paryża odbyli wszystkie przepisane rozmowy: z ludowcami, z narodową demokracją, z chrześcijańską demokracją, z socjalistami, z pomniejszemi stronnictwami, a przedewszystkiem z kierownikami organizacji wojskowej, wokoło której — jak to zawsze czasu wojny — skupiała się wszelka akcja narodowa.

Partje przysłały na rozmowy najlepszych swoich ludzi — właściwych przywódców. Wszystkie partje polskie od września 1939 roku były na stopie wojennej: weszły pod ziemię, wyznaczyły kolejkę przywódców; gdy pierwszy na liście ginął lub zostawał uwięziony — automatycznie na czele partji stawał następny z listy. Ponieważ nie można było urządzać zebrań — przywódcy otrzymali od towarzyszy partyjnych władzę bardzo rozległą. Pozostawali też w stałym kontakcie z kierownikami organizacji wojskowej, oraz z przywódcami innych partyj.

Delegaci rządowi po powrocie do Paryża (tylko jeden z nich zresztą powrócił) przywieźli ze sobą zdecydowane oświadczenie Kraju: wszystkie bez wyjątku partje w Polsce mają jeden program walki o wolność, wszystkie na naczelne miejsce swoich wysiłków wysuwają hasło jedności — i wszystkie bez wyjątku popierają legalny Rząd Generała Sikorskiego.

Przywódcą Polskiej Partji Socjalistycznej był wówczas — i aż do początku 1944 roku—Tomasz Arciszewski, obecny Premjer Rządu Rzeczypospolitej. W towarzystwie innego jeszcze delegata PPS odbył w styczniu 1940 roku dwie długie rozmowy z delegatami z Paryża — a któż wie, ile potem było tego rodzaju rozmów z innymi delegatami!

Zeszli się w mieszkaniu konspiracyjnem — u pewnej dentystki. Mieszkanie było parterowe, na narożniku dwóch ruchliwych ulic. Przechodnie prawie że mogli zajrzeć do okien. Na skrzyżowaniu policjant niemiecki regulował ruch uliczny. Konspiracja w tym wypadku polegała właśnie na wyborze miejsca pod samym nosem Niemców, gdzie mogli oni najmniej spodziewać się spiskowców. Obaj reprezentanci PPS byli starannie ubrani: dwaj dystyngowani starsi panowie, opanowani i uśmiechnięci. Tacy "burżuje" nie budzili na ulicy podejrzeń u Niemców. Arciszewski nie nosił wtedy jeszcze brody.

Tomasz Arciszewski przez cztery i pół lata niewoli był jedną z czołowych postaci Polski Podziemnej. PPS była niewątpliwie partją najlepiej zorganizowaną w warunkach działalności konspiracyjnej. Jej leader miał decydujący wpływ na każdą opinję Kraju, na każdą decyzję.

— "Powiedźcie panowie w Paryżu" — mówił Tomasz Arciszwski de-

legatom rządowym w styczniu 1940 roku — "że tu u nas w tej chwili właściwie niema partyj ani stronnictw, a jest jeden naród, gdzie każdy z tych co myślą — myśli i czuje to samo".

PPS i Narodowa Demokracja, śmiertelni wrogowie od 1905 roku, zasiedli obok siebie bez wahania w tajnej radzie narodowej w 1940 roku — tak samo jak teraz, w obliczu innego niebezpieczeństwa, zasiedli obok siebie w Rządzie londyńskim. PPS i Narodowa Demokracja w 1940 roku, gdy chodziło o Komendanta tajnej organizacji wojskowej — opowiedziały się bez zastrzeżeń za kandydaturą pewnego generała o wyraźnie ludowcowych sympatjach, bo dla nich w tragicznj sytuacji Kraju było ważne to, że ów generał jest dobrym Polakiem i tęgim żołnierzem, a nie to, jakim ideom politycznym sprzyja.

To samo było podczas każdej z rozmów warszawskich, gdy delegaci pytali przywódców stronnictw o ich stosunek do Rządu w Paryżu, oraz do osoby Generała Sikorskiego.

Oto była odpowiedź Tomasza Arciszewskiego:

— "Panowie wiecie przecież, że nasze stronnictwo przed wojną nie popierało Generała Sikorskiego i ludzi jego typu. Nie wątpimy wszakże na chwilę, że ludzie na tym poziomie co Sikorski w obecnej sytuacji Kraju przestali być politykami partyjnymi i będą postępowali tak jak mybyśmy postępowali. Popieramy Rząd Generała Sikorskiego".

Zresztą owczesny przywódca Narodowej Demokracji, nieżyjący już Profesor Staniszkis, to samo zupełnie powiedział delegatom o Generale Sosnkowskim, ktorego Narodowa Demokracja nie popierała przed wojną. Dla ludzi klasy Arciszewskiego i Staniszkisa różni politycznie Sosnkowski i Sikorski znowuż byli tylko dobrymi Polakami.

Zagadnienie jedności narodowej, podanie sobie rąk przez wszystkich uczciwych Polaków — w Polsce Podziemnej wogóle nie mogło być przedmiotem dyskusji. Tak samo jak Kraj w niewoli nie wydał Quislingów — nie wydał ludzi, któzy ośmieliliby się rozbijać jedność narodową.

Gdy we wrześniu 1939 roku Warszawa poddała się i Generał Czuma rozkazał grupie oficerów pójść pod ziemię i stworzyć tajną organizację wojskową — ogół społeczeństwa w Kraju oczywiście nie wiedział o tym rozkazie. Ludzie żądni czynu zaczęli na własną rękę tworzyć bojówki i tajne organizacje. W styczniu 1940 roku delegaci Rządu w Paryżu po przybyciu do Polski zastali mozaikę na tem polu. Nie było jednak żadnych poważniejszych trudności z unifikowaniem tego ruchu: gdy tylko znalazł się sposób dotarcia do samozwańczych komendantów bojówek i wytłomaczenia im, że istnieje regularne wojsko podziemne — oddawali się natychmiast pod rozkazy Komendanta Armji Krajowej. I tu nad wszystkiem górowała chęć służenia Ojczyźnie w nieszczęściu, oraz istniało całkowite zrozumienie zasady jedności. Dlatego też wszystko co z Kraju wyszło przez te pięć lat: czyn, decyzja czy odezwa — nacechowane jest szlachetnością i siłą słuszności naszej sprawy.

— "Zrozumiejcież w Paryżu" — tłomaczył delegatom Tomasz Arciszewski — "że my tu w Polsce wcale nie czujemy się słabi czy pobici. To Niemcy są słabi! Zauważcie panowie na ulicach, że chodzą nie patrząc nam w oczy. Moralnie my jesteśmy górą — a to bardzo wiele znaczy. To jest podstawa i początek naszego końcowego zwycięstwa".

Tak rozumował wówczas w Polsce każdy — a zapewne i teraz rozumuje tak samo. Bo zaiste, żeby poznać opinję Kraju — nie potrzeba dziś urządzać głosowań. Wystarczy pomówić z przywódcami — a potem z ludźmi z ulicy, gdzie zawsze znajdzie się wierne odbicie tych samych idei i wierzeń, które słyszało się od przywódcy. Bo w Polsce jest jedność — i wszyscy w Polsce myślą tak samo i chcą tego samego.

I oto nareszcie jeden z tch mocnych ludzi Polski Podziemnej — jeden z najlepszych zpośród nich — wyszedł z podziemi pomiędzy skłócone uchodźtwo londyńskie i będzie teraz mówił imieniem Polski. Nie będą temu radzi nasi wrogowie, ani nasi chwiejni przyjaciele, co to wiedzą, że rządy Arciszewskiego nie będą rządami marjonetkowemi. Ale gdyby Polacy w Polsce, czy też Polacy rozsiani po świecie mogli wypowiedzieć otwarcie swoją wolę — toby napewno jednym głosem wołali, że w czasach obecnych Polską mogą rządzić tylko Starzyńscy, Komorowscy, Arciszewscy.

OPINJE I ZDARZENIA

NOWI NASI MINISTROWIE

Nasze biura informacyjne nie zdołały jakoś sprawić, aby dowiedziano się w Nowym Jorku czegoś interesującego o nowych naszych ministrach.

A przecież życie premjera Arciszewskiego jest to z punktu widzenia demokracji i "lewicowości", nie mówiąc już o samej bohaterskiej pasjonującej jego stronie opowieść stokroć bardziej interesująca i cenna, niż to, cośmy się w swoim czasie dowiedzieli o panu Mikołajczyku, który nazwany był przez Polską Agencję Telegraficzną z przysłowiowym jej brakiem poczucia śmieszności "mężczyzną obok Antoniego Edena najlepiej ubranym w Londynie".

To życie piękne, życie prawdziwego demokraty, prawdziwego bojownika wolności powinno być co prędzej opowiedziane i znane w Ameryce, przeciwstawiając się nikczemnym kłamstwom, że Tomasz Arciszewski jest faszystą i przewodniczy reakcyjnemu rządowi.

Nie czytaliśmy też nigdzie dotąd, co w podobnych okazjach było zawsze podane na pierwszym miejscu, że nasz nowy minister informacji Adam Pragier, był więziony w Brześciu. Co prawda należałoby w imię prawdy, zaznaczyć przytem, że pan Pragier nie uważał nigdy, iż dlatego iż sam był więziony przez swych przeciwników powinien przy okazji odpłacić się pięknem za nadobne, nigdy nie popierał też różnych "wysp odosobnienia" i ceniony był zawsze we wszystkich obozach nietylko jako prawdziwy intelektualista ale jako wzorowy gentleman.

Skoro też reklamuje się zawsze demokratyzm naszych mężów konsularnych dobrze byłoby zaznaczyć o nowym naszym ministrze spraw zagranicznych Adamie Tarnowskim, iż nie jest on bynajmniej "hrabią" i że był on członkiem "Wyzwolenia" czyli bardzo lewicowej, bardziej lewicowej niż ta, do której należy pan Mikołajczyk grupy ludowej.

Adam Tarnowski, dyplomata bardzo wytrawny, o śmiałych i własnych nigdy nie ukrywanych poglądach w sprawach zarówno wewnętrznych jak i zagranicznych znany też jest z talentu powiedzenia, kiedy trzeba: nie.

Można to uważać za przymiot demokratyczny albo 'pański".

W każdym razie pan Romer nie był zbyt szczodrze obdarowany tym talentem.

SŁAWEK I ARCISZEWSKI

Jak wiadomo, nowy nasz premjer, choć związany cały przeszłością z rewolucyjną działalnością Piłsudskiego — w chwili gdy P.P.S. wzięło z nim rozbrat pozostał w przeciwieństwie do wielu swych towarzyszy jak Moraczewski, Jaworowski przy partji i żadne zabiegi nie zdołały go sprowadzić z tej drogi.

Był to oczywiście jeden powód więcej do szacunku jaki zawsze dla Arciszewskiego żywili tacy ludzie jak pani Aleksandra Piłsudska i Walery Sławek. Kiedyś myśląc o tej niezłomności Arciszewskiego powiedział Sławek do kogoś ze swych współpracowników:

"Wolałbym mieć jednego Arciszewskiego niż wszystkich socjalistów z B. B."

Nie wiemy, czy pan Mikołajczyk jest sumiennie praktykujący, wiemy natomiast o gorącej pobożności pana ministra Romera. Szkoda, że nie słyszeliśmy nigdy, aby polscy ministrowie, przyjeżdżając do Moskwy i bardzo potrzebując Boskiej pomocy w ciężkiej dla całego narodu chwili udali się tam, gdzie generał de Gaulle, przedstawiciel okrzyczanej za bezbożną Francji odrazu skierował swe kroki.

Wiemy natomiast, że ilekroć znaleźli się nasi politycy wobec Sowietów, zawsze wyczyniali najdziwniejsze rzeczy, aby dowieść tym najcyniczniejszym totalistom, iż Polska zasługuje na ich względy bo jest prawdziwą demokracją.

Oczywiście, że w rezultacie Moskale uważali, że Polacy się ich boją i wyciągali z tego odpowiednie praktyczne wnioski.



Baldachim uszyty z namiotu wielkiego wezyra zdobytego przez Sobieskiego pod Wiedniem, ofiarowany przez króla bazylice w Loretto. Jak wiadomo Loretto nasza Dywizja Karpacka uwolniła teraz od Niemców.

TAK NALEZY SIĘ ZACHOWYWAĆ W MOSKWIE

Jak doniosły pisma, pierwszym krokiem generała de Gaulle'a po przyjeździe do Moskwy było pójść wraz z całym sztabem do kościoła.

Generał de Gaulle i francuski minister spraw zagranicznych Bidault są to, obaj ludzie naprawdę wierzący, idąc na mszę zrobili też to poprostu co robią zawsze i co im nakazuje sumienie.

Ale tak postąpiwszy, dokonali oni zarazem kroku najbardziej dyplomatycznego, pokazując Moskalom, że mają oni odrębne od nich zasady i wierzenia i że nie mają wcale zamiaru ich ukrywać, aby sobie ułatwić rozmowy ze Stalinem.

DWA TYSIĄCE LAT

Oto aforyzm generała de Gaulle'a, który przejdzie do historji:

Jeden z dyplomatów amerykańskich wdał się z generałem w dysputę, w której usiłował mu dowieść, że zna znakomicie Francję.

"Byłem tutaj przecież dwanaście lat" — powiedział w pewnej chwili.

A na to de Gaulle: — "Ja tutaj jestem od dwóch tysięcy lat."



Znany polski zapaśnik Karol Nowina-Szczerbiński jest teraz lotnikiem polskim w Londynie.

JEDNAK TRZEBA WYRZUCIĆ

Jest rzeczą niesprawiedliwą dowodzącą słabości w dzisiejszych zresztą warunkach polskich nieludzką rugować urzędników skoro zmienia się rząd. Urzędnik służy państwu, a nie rządowi i skoro służy lojalnie a ma odpowiednie kwalifikacje, ma prawo mieć jakie chce prywatne przekonania i bynajmniej nie musi udawać, że we wszystkiem zgadza się z panami szefami.

Ale są przekonania, które nie mogą być tolerowane, bo są antypaństwowe, bo nie godzą się nie z interesami tej czy innej partji, ale poprostu z interesem państwa; kto te przekonania głosi, kto je wyznaje jest w chwilach takich, jak dzisiejsza niebezpieczny wogóle, a bardzo niebezpieczny jako urzędnik.

Jeżeli pan Mikołajczyk wbrew napewno swym intencjom mógł uchodzić za człowieka, który godzi się na ustępstwa wobec Rosji, przekreślające naszą niepodległość, niech za to podziękuje różnym swym urzędnikom, którzy komentowali go w ten sposób, mówiąc na prawo i na lewo swoim i obcym, że Polska musi się poddać, że p. Osupka jest wcale niezłym patrjotą, że wolą pana Langego niż Sosnkowskiego.

Tych urzędników trzeba zaraz "wylać". Nie dlatego, że oni marzą żeby wylać ten rząd, ale dlatego, że ich pozostawanie na służbie państwa jest zgorszeniem, jest niebezpieczeństwem i robi na obcych wrażenie, że można sobie z nami na wszystko pozwolić.

Wylać zaraz i definitywnie, pozostawiając panu Langemu i pani Wasilewskiej troskę o zabezpieczenie ich bytu!

KSIĄŻKA KARŁOWICZOWEJ

Powieść Jadwigi Karłowiczowej "Płonące skrzydła" o której w No. 46 "Tygodnika" pisała już pani Helena Sworakowska, stała się prawdziwem wydarzeniem w życiu Polonji. Jadwiga Karłowiczowa dowiodłą tą powieścią, że jest pisarzem stawiającym sobie trudne i nowe zadania i zdolnym je pomyślnie rozwiązać, książka jej jest nietylko od dłuższego czasu najważniejszym dokonaniem pisarskiem w literaturze polsko-amerykańskiej, ale jest poprostu książką cenną i literacko i społecznie, która pozwala nam oczekiwać od jej autorki innych ważnych osiągnięć. Pani Sworakowska podniosła w recenzji swej to szczególnie, co "Płonące skrzydła" tłumaczą nam i odkrywają z życia Polonji, ich związek z tem życiem, to co napewno uczyni tę książkę popularną i drogą w Chicago, Detroit, i Buffalo. To jednak, co stanowi o literackiem zwycięstwie Karłowiczowej jest to przedewszystkiem śmiałość w obraniu ryzykownego i trudnego tematu i wysoki takt artystyczny z jakiem jest on poruszony, jest to dalej teza niezwykle społecznie cenna, a nigdzie dotąd bodaj w literaturze nie postawiona, teza, że kto był bohaterem, choćby najbardziej cierpiał — nie może poprzestać na chwale tego cierpienia ale musi temwięcej starać się — całem dalszem życiem potwierdzić tę chwałę i służyć społeczeństwu. Ta myśl nie jest bynajmniej morałem, "Płonących Skrzydeł" sztucznie dorobionym do powieści — ale naturalnie wynika z bardzo ludzkiej i bardzo prawdziwej treści, nadając 'Płonącym Skrzydłom" rzetelną i głęboką wartość społeczną i etyczną.

Najgoręcej winszujemy Jadwidze Karłowiczowej i jesteśmy pewni, że sukces zasłużony i istotny jej powieści sprawi, że niedługo będziemy czekać na drugą. (jl).

THE STORY OF THE SECRET STATE

Książka Jana Karskiego "The Story of the secret state", będąca jak wiadomo drugim w tym roku utworem autora polskiego, nagrodonym przez "The book of the Month-Club" ma wszędzie recenzje entuzjastyczne, niezwykle obszerne, najpochlebniejsze dla autora i będące najszczerszym hołdem dla polskiego bohaterstwa i dla Polski.

Zapowiada się ta książka, jako jeden z największych sukcesów sezonu, co jest oczywiście w naszej obecnej sytuacji szczególnie ważne i cenne.

LISTY DO REDAKCJI

LIST ŻOŁNIERZA POLSKIEGO Z PIERWSZEJ DYWIZJI PANCERNEJ W BELGII

9 listopad 1944.

Do Tygodnika Polskiego

Zwracam się z gorącą prośbą o umieszczenie w "Tygodniku Polskim": "Rotmistrz Wacław Kornaż zginął na polu walki 1go października 1944, w walkach w Belgii. Wiem że kogoś miał w Ameryce bo był moim dowódcą".

Nie podaję swego nazwiska bo leżę w szpitalu w Belgii gdzie zostałem ranny w lewe ramię i mam kość zharataną od pocisków szwabskiego karabinu maszynowego. A no — trudno się nazywa. Gdzie rąbią drzewo tam wióry muszą się sypać.

Przeszedłem całą kampanję Polską w roku 1939. Od pierwszej sekundy stałem w obronie ojczyzny nad granisą Polską od 1go września 1939 gdy Szwaby o czwartej trzydzieści rano napadły na Polskę; walczyłem aż do obrony Warszawy. W Warszawie zostałem wzięty do niewoli szwabskiej. Po paru tygodniach zwiałem z niewoli, a potem przeszedłem do Francji gdzie wstąpiłem do wojska Polskiego ażeby walczyć ze Szwabami w roku 1940. Wreszcie po czterech latach stanąłem do walki z odwiecznym wrogiem. To nie był rok 1939 ani 1940, to jest rok 1944 i po czterech latach każdy z nas nabrał jeszcze większego żaru w sercu do mszczenia się nad Szwabem. Tak jest. — Nie widziałem jeszcze tylu trupów Szwabskich, z dywizji SS, co teraz w Normandji na wzgórzu 262. Trudno było odróżnić ścierwo Szwabskie od końskiego. Tak dostali oni od pierwszej Polskiej Dywizji Pancernej. Była to zemsta za zamordowanie przez SS pod Stono dziewięciu żołnierzy Kanadyjskich i pięciu Polskich. Zemsta wołała o pomstę do Boga. Napisałbym więcej, tylko nie mogę pisać jedną ręką bo lewe ramię mam w gipsie i nie mogę przytrzymywać papieru. Sam się dziwię jak egzemplarz "Tygodnika Polskiego" z Ameryki trafił tutaj. A dał mi go jeden z żołnierzy amerykańskich, pewnie z Polonji. Kończąc zasyłam "Tygodnikowi Polskiemu" i wszystkim czytelnikom serdeczne pozdrowienia.

J. A. M. z 1ej Dywizji Pancernej.



Z miasta Predapio (gdzie urodził się Mussolini) nasz Drugi Korpus wypędził Niemców. Na znak wdzięczności za uwolnienie jedna z pięknych miaszkanek Predapio prosiła polskiego oficera na chrzestnego ojca nowonarodzonego jej dziecka.

W przyszłym tygodniu w lokalu "Tygodnika" wystawa prac Ireny Lorentowicz "Warszawa"